

Kto sabotuje gospodarkę wenezuelską?

3 marca 2014

Jest rzeczą oczywistą, że w Wenezueli coś nie gra. Świadczą o tym niekończące się kolejki przed sklepami po podstawowe produkty, takie jak mleko, mąka, olej czy papier toaletowy oraz rozkwit gospodarki równoległej, w której uliczni sprzedawcy proponują te same produkty po prohibicyjnych cenach.

O ile Wenezuelczycy już od bardzo dawna cierpią z powodu pewnych niedoborów, o tyle wszystkich zaskoczyło pogorszenie się sytuacji od początku 2013 r. Daje się ono społeczeństwu we znaki tym bardziej, że dochodzą do tego problemy z infrastrukturą, powodujące przerwy w dostawach wody i elektryczności. Ci, którzy mogą, napełniają wanny, tworząc w ten sposób rezerwy a wszyscy modlą się, aby nie stracić zawartości swoich lodówek...

W ostatnich tygodniach rząd niemal codziennie zapowiadał nowe posunięcia, obiecując zaradzić inflacji i niedoborom. Przyczyny tych trudności są obiektem namiętnych kontrowersji. Władze boliwariańskie piętnują sabotaż gospodarczy, którego wspólnie dopuszczają się opozycja, środowiska biznesowe i administracja amerykańska. Prawica piętnuje niedbalstwo prezydenta Nicolasa Maduro i jego ekipy. Polemika ociera się tylko o istotę problemu – o to, jak Wenezuela, jeden z największych producentów ropy naftowej na świecie, powinna zarządzać manną z nieba... którą uzyskuje ze swoich zasobów naturalnych.

JAK WENEZUELA ODZYSKAŁA ROPE

Przed dojściem Hugo Chaveza do władzy w 1999 r. z ogromnych złóż czarnego złota korzystały niemal wyłącznie spółki naftowe. Zaraz po swoim wyborze Chávez odwrócił tę politykę, z

jednej strony usilnie działając w łonie Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC) na rzecz podwyżki ceny baryłki, a z drugiej – zmuszając prywatnych eksploatatorów do uiszczania społeczeństwu wenezuelskiemu należności. Przedtem wenezuelski przemysł naftowy przelewał do skarbu państwa 30% swoich zysków. Teraz opodatkowanie wzrosło do 70%.

Gdy kufry państwowe zaczęły napełniać się petrodolarami, a podjęta przez opozycję próba zablokowania eksploatacji złóż w celu obalenia Chaveza poniosła fiasko, kwestia, komu pieniądze te mają służyć i jaka polityka pieniężna byłaby najodpowiedniejsza, stała się kluczowa dla przyszłości rewolucji boliwariańskiej. Czy należało odłożyć pieniądze, przewidując, że nadejdą chude lata, jak uczyniła to Norwegia, czy zainwestować w wielkie, kosztowne infrastruktury, jak uczynił to Katar, czy wreszcie posłużyć się nimi do sfinansowania programów socjalnych i walki z ubóstwem? Młoda Republika Boliwariańska wybrała to trzecie wyjście, łącząc je z polityką kontroli kursów walutowych w celu zahamowania ucieczki kapitałów, która stała się największym wyzwaniem dla rządu po nieudanej próbie zamachu stanu, podjętej przez opozycję w 2002 r.

Polityka ta, w połączeniu ze wzrostem demograficznym, pozwoliła Wenezuelczykom spożywać o 50% kalorii więcej niż w 1998 r., zmniejszając nierówności społecznej znacznie szybciej niż gdzie indziej w regionie. Redystrybucja renty naftowej wśród biedoty pociągała jednak za sobą oczywiste ryzyko inflacji, ponieważ nakręcając konsumpcję wewnętrzną szybciej niż rośnie produkcja, automatycznie powoduje się wzrost cen.

INFLACJA ODZIEDZICZONA PO STARYM REŻIMIE

Wenezuela cierpiała jednak na gorączkę cenową już od 20 lat – od “czarnego piątku” 18 lutego 1983 r., kiedy to nagle zdevaluowano boliwara. W ciągu dziesięciolecia poprzedzającego prezydenturę Chaveza inflacja wynosiła średnio 52% w skali rocznej. Jednym z pierwszych zadań, które stanęły przed

prezydentem boliwariańskim, było opanowanie tej niestabilności. W latach 1999-2012 średnioroczna stopa inflacji wynosiła 22%, a zatem cel ten częściowo osiągnięto. Ten spadek stopy inflacji nie przetrwał jednak śmierci Chaveza w marcu 2013 r. Inflacja znów zaczęła rosnąć i we wrześniu osiągnęła 49%.

Drugie wyzwanie ekonomiczne to demoralizujące zjawisko niedoborów. Nawet Bank Centralny Wenezueli zarejestrował prawie dwukrotny wzrost niedoborów w ciągu jedno roku. Władze boliwariańskie twierdzą, że to wielka burżuazja krajowa urządziła sabotaż na liniach zaopatrzeniowych i spekulację na czarnym rynku, aby doprowadzić do fiaska polityki rządowej. 8 października prezydent Maduro powtórzył te oskarżenia przemawiając w Zgromadzeniu Narodowym. "Gospodarka wenezuelska", stwierdził, "przeżywa szczególną koniunkturę, w której aparat produkcyjny kraju boryka się z ofensywą spekulacji, ukrywaniem zapasów, kontrabandą i czarnym rynkiem dewizowym." [1]

Maduro porównał obecne trudności Wenezueli z trudnościami, które przeżywało Chile przed wojskowym zamachem stanu, kiedy to sektor prywatny, korzystając z pomocy Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, zinstrumentalizował niedobory, aby podkopać pozycję prezydenta Salvadora Allende. Natomiast opozycja głosi, że tarapaty, w które wpadła Wenezuela, to skutek złych rządów. Nie można wykluczyć, że rację mają obie strony... Rząd bowiem dał środowiskom biznesowym wolną rękę, z czego skorzystały one uciekając się do sztuczek, o które oskarża je rząd, a jeśli okazuje się, że spekulacja, kontrabanda i ucieczka kapitałów są lukratywniejsze i wygodniejsze niż legalne inwestycje w sferze produkcji i dystrybucji, tzn., że gdzieś zawiodła polityka publiczna.

Wyzwaniu, jakim jest budowa socjalizmu w jednym kraju, gdy na całym świecie panuje kapitalizm, trudno jest sprostać. Chile na początku lat 1970. i Nikaragua w latach 1980. borykały się z taką samą przeszkodą. W obu tych krajach, podobnie jak teraz

w Wenezueli, polityczna wola uwolnienia się od działania praw kapitalizmu spowodowała zmasowaną ucieczkę kapitałów i niestabilność, wobec której rządzący okazali się bezsilni. Kontrola cen i kursów walut pozwala, rzecz jasna, do pewnego stopnia sprostać takiej kontrofensywie, ale stwarza inne wielkie problemy, takie jak niedobory.

KŁOPOTY Z KONTROLĄ KURSU WALUTOWEGO

Jeśli Wenezueli przez długi czas udawało się uniknąć szkód, to dlatego, że naftowa siła uderzeniowa, którą dysponuje, zapewniała jej poważną przewagę handlową i pieniężną. Przewaga ta nie wystarczyła jednak do zapewnienia stabilności pieniądza, w takiej mierze, w jakiej sektor prywatny, który nadal jest bardzo wpływowy w gospodarce kraju, koncentruje w swoich rękach dużą część masy naftowej. Dysponuje zatem kapitałami o ogromnych rozmiarach, które czekają tylko na sprzyjającą okazję, by opuścić kraj – na rentowniejszą lokatę gdzie indziej.

Za rządów Maduro, podobnie jak za rządów Chaveza, głównym mechanizmem ochrony waluty narodowej pozostaje Komisja do spraw Administrowania Dewizami (CADIVI), określająca warunki, na których Wenezuelczycy mogą po oficjalnym kursie wymieniać swoje boliwary na dolary. Operacja taka jest dozwolona tylko w ściśle określonych przypadkach, takich jak import produktów, których nie zapewnia rynek krajowy, podróże, udzielanie pomocy osobom bliskim, mieszkającym za granicą, czy pewne zakupy internetowe.

Dopóki rząd zezwala na względnie płynny dostęp do dewiz, kurs na czarnym rynku i inflacja utrzymują się na znośnym poziomie. Wenezuela importuje jednak 70% towarów, które konsumuje, toteż rząd stara się utrzymać korzystny kurs waluty krajowej – tak, aby nie poszybowały ceny wystawionych na sprzedaż produktów z importu. Tymczasem polityka ta jest źródłem wynaturzeń – z biegiem czasu poszerza się luka między realną wartością boliwara, który wskutek nawet kontrolowanej inflacji ulega

automatycznej deprecjacji na rynku wewnętrznym, a jego utrzymującą się na wysokim poziomie wartością nominalną na rynku dewizowym. Karę za to ponoszą wenezuelskie zakłady przemysłowe, ponieważ koszt wytwarzanych przez nie towarów rośnie szybciej niż koszt towarów importowanych. W rezultacie krajowych wytwórców mija konkurencja. Dlatego rząd postanowił ograniczyć import do towarów, których nie wytwarza się w kraju, ale często warunkiem tego nie sposób dotrzymać, ponieważ np. większość podstawowych artykułów spożywczych wytwarza się w Wenezueli, ale w ilości niedostatecznej do zaspokojenia popytu.

Inna nieszczęsna konsekwencja kontroli kursu walutowego polega na tym, że gdy boliwar ulega dewaluacji na rynku wewnętrznym, pozostając jednocześnie mocną walutą na rynku dewizowym, nieubłagane pogłębia się przepaść między kursem oficjalnym a kursem czarnorynkowym. W rezultacie dostęp do państwowych kantorów wymiany walut staje się coraz bardziej pożądanym przywilejem, o który toczy się coraz ostrzejsza rywalizacja. Np. rok studiów na prywatnym uniwersytecie wenezuelskim kosztował na początku 2010 r. 46 tys. boliwarów, tzn. równowartość 10 tys. dolarów. Dziś kosztuje tyle samo, choć z technicznego punktu widzenia boliwar stracił w tym czasie, na ziemi wenezuelskiej, połowę wartości. W ciągu 3 lat cena roku studiów spadła zatem o połowę.

W sumie, kontrola kursu waluty stała się narzędziem korzystnym przede wszystkim dla zamożnych warstw społecznych, ponieważ zakupy dolarów są zastrzeżone dla tych, których stać na podróże, na pomoc dla osób bliskich i na finansowanie studiów za granicą. Z tych trzech powodów dokonano w 2012 r. 20% ogółu zakupów dewiz w ramach CADIVI na sumę 5,8 mld dolarów. Oznacza to, że Wenezuela jest obecnie jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, w którym pieniądze wędrują z Południa na Północ, a nie na odwrót.

CZARNY RYNEK KWITNIE

Rząd stara się uporać z czarnym rynkiem, ale dotychczas jego wysiłki okazały się mało owocne. W zasadzie nie można przelewać pieniędzy za granicę bez zezwolenia. Obejście tej przeszkody to jednak dziecinna igraszka: wystarczy zwrócić się do pośrednika, który tu i tam ma konto. Gdy tylko zainkasuje on pieniądze na swoim koncie wenezuelskim, odblokuje ich równowartość na swoim koncie w Stanach Zjednoczonych, odliczając prowizję i zysk, który przyniesie mu kurs czarnorynkowy. Państwu trudno jest temu przeciwdziałać.

Skutki kontroli kursów walut okazały się jeszcze bardziej perwersyjne od początku 2013 r. Prawdopodobnie pierwszym powodem była skoordynowana inicjatywa sprzyjających opozycji środowisk biznesowych, która miała na celu zaostrezenie trudności gospodarczych kraju przy okazji spowodowanej chorobą nieobecności Chaveza w kraju, a następnie przy okazji jego zgonu. W ciągu bieżącego roku władze wielokrotnie wykrywały całe hangary wypełnione aż po sufit olejem kuchennym i innymi podstawowymi artykułami spożywczymi, wyraźnie wyłączonymi z dystrybucji w celu wzmożenia niedoborów.

Do tego należy dodać niezręczne posunięcie rządu, który w lutym 2013 r., obniżając o 32% oficjalny kurs boliwara, zniósł również system zawierania i wykonywania transakcji na papierach wartościowych wystawionych w walutach obcych, zwany SITME. Jednocześnie tych dwóch posunięć, ogłoszonych na miesiąc przed śmiercią Chaveza, spowodowała spustoszenia w gospodarce, nakręcając inflację, która już w następnym miesiącu podskoczyła o 2,8%.

Z biegiem czasu Wenezuelczycy nauczyli się lepiej czy gorzej radzić sobie z tą plagą. Ciułacze chroniący wełniane skarpetki przed nieustanną deprecjacją swoich pieniędzy dokonują roztropnych lokat. Najzamożniejsi rzucają się na nieruchomości, nieco mniej zamożni na samochody, następni w kolejności pod względem fortuny na giełdę (osiągając najlepsze na świecie wyniki – w okresie od stycznia do października 2013 r. kurs akcji wzrósł na niej o 165%). To

dlatego po wprowadzeniu kontroli kursu walutowego w 2003 r. te trzy rynki eksplodowały w znacznie szybszym tempie niż inflacja.

Dolar nadal ogrywa jednak rolę wartości służącej za schronienie. Gdy na początku 2013 r. rozpętała się inflacja, osiągając w maju 6,1%, wielu Wenezuelczyków rzuciło się na zielone banknoty na czarnym rynku, powodując nowy wzrost podziemnego kursu walutowego. Ponieważ ten służy za podstawę kalkulacji cen większości towarów dostępnych w handlu, gorączka dolarowa skutkowała nakręceniem inflacji, a w rezultacie jeszcze bardziej wzmożoną pogonią za dolarami. Tak oto gospodarka wenezuelska wpadła w pułapkę błędnego koła o rzadkich mocach niszczycielskich.

Coraz głębsza przepaść dzieląca oficjalny kurs walutowy od jego odpowiednika wyrządza społeczeństwu bardzo poważne szkody. Nierzadko produkty dotowane przez państwo – głównie artykuły spożywcze – padają ofiarą kontrabandy i lądują w sąsiednich krajach. Mieszkańcy stref przygranicznych regularnie widzą przejeżdżające w kierunku Kolumbii, Brazylii lub Gujany ciężarówki pełne mleka, oleju czy ryżu. Celnicy przytykają na to oczy. Między ceną tych produktów w Wenezueli a taryfami, które negocjuje się po drugiej stronie granicy, marże są komfortowe i pozwalają przemytnikom zapewnić sobie przychyłność funkcjonariuszy. A w kraju mnożą się niedobory.

ANTYKAPITALIZM W SŁUŻBIE NAJBOGATSZYCH?

Koniec końców, system kontroli kursu walutowego, stanowiący instrument suwerennej i antykapitalistycznej polityki, obraca się na korzyść najbogatszych Wenezuelczyków. Uprzywilejowani, którzy mają dostęp do oficjalnego rynku walutowego, inkasują olbrzymie zyski, zakupując towary po oficjalnym kursie i odprzedając je po zawrotnych cenach na czarnym rynku. W Republice Boliwariańskiej stopa zysku wynosząca 100-500% to dziś chleb powszedni.

Rząd zrozumiał, że nie może biernie temu się przyglądać. 8 października Maduro poprosił Zgromadzenie Narodowe o zezwolenie na rządzenie za pomocą dekretów, nie tylko aby walczyć z korupcją, ale również aby uzdrowić gospodarkę. Wkrótce po jego wystąpieniu, Rafael Ramírez, prezes państwowej spółki naftowej Petróleos de Venezuela (PDVSA) i wiceprezydent republiki odpowiedzialny za sprawy gospodarcze, zapowiedział wprowadzenie na miejsce dawnego SITME nowego systemu "licytacyjnych" kursów walutowych, który będzie udostępniał 100 mln dolarów tygodniowo. System ten jest już jednak przedmiotem krytyki ze strony wielu ekonomistów, którzy uważają go za zbyt nieśmiały, bo nie zaspokoi popytu na obcą walutę i nie wysuszy czarnego rynku.

Jedynym rozwiązaniem, które pozwoliłoby zastopować wyparowywanie kapitałów, polegałoby niewątpliwie na umocnieniu kontroli państwa nad gospodarką, np. przy pomocy totalnej nacjonalizacji sektora bankowego lub ściślejszej kontroli importu. Wielu dawnych zwolenników Chaveza postuluje taką reorientację, ale wydaje się, że rząd Maduro obrał bardziej krętą drogę.

Wyjątkowo trudna sytuacja Wenezueli wynika zarówno z jej statusu wielkiego producenta ropy naftowej, jak i z jej zaangażowania w budowę ustroju niekapitalistycznego. Przychody z ropy naftowej w niczym nie zmieniają faktu, że budowa socjalistycznej wyspy na neoliberalnym oceanie automatycznie powoduje epidemię pod postacią ucieczki kapitałów. Naftowa manna opuszcza kraj tak szybko, jak spada nań z nieba, pozostawiając za sobą społeczeństwo wycieńczone inflacją, niedoborami i niestabilnością.

PRZYPIS

[1] El Universal, 10 października 2013 r.

Autor: Gregory Wilpert

Tłumaczenie: Zbigniew M. Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

0 AUTORZE

Gregory Wilpert – socjolog, autor „Changing Venezuela by Taking Power: The History and Policies of the Chávez Government” (2007).